

SPOŁECZENSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY I POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnośnieniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedynczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZENSTWO” wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Wielka 1-a m. 1.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. **REKLAMY** po tekście kop. 50 za wiersz petitu. **NADEŚLANE** na 1 stronie przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki od g. 2 — 3 po południu. Drobnym rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

Po wyborach francuskich, przez Henryka Lukreca.
Przesilenie w Anglii, p. Edwarda Grabowskiego.
Trybunał wojujący.
Słów parę wyjaśnienia w sprawie „oślego obrazu”, p. Wacławę Kiślańską.

Don Juan zagrożony, p. Leona Choromańskiego.
Początki procesu uspołecznienia, p. Mieczysława Szerera.
Krytyka i sprawodania: Bronisława Ostrowska, „Z najmłodszej poezji polskiej”, przez Gustawa Beena.
Z dna przepaści życiowej (II), p. Emila—Wygnańca.
Dodatek: J. Wł. Dawid. Inteligencja, Wola i Zdolność do pracy. (ark. 62).

Czas odnowić prenumeratę na kwartał II-gi.

Redakcja i administracja „SPOŁECZENSTWA”
przeniesiona została na
ul. Wielką Nr. 1^A m. 1.
(róg ulicy KALIKSTA).

PO WYBORACH FRANCUSKICH.

Wybory do Izby Deputowanych wykazały dalsze różniczkowanie prądów radykalno-socjalistycznych i socjalistycznych, nurtujących coraz silniej we Francji od dni zwycięstwa partii Clemenceau. W obecnym składzie posłów w Pałacu Burbońskim wyraża się w przybliżeniu stosunek wzajemny demokracji i konserwatyzmu z jednej strony, — stosunek rządzącego stronnictwa i opozycji socjalistycznej—z drugiej. Rojalizm, pozornie ożywiony w ostatniej dobie pod wpływem głośnej agitacji antyrepublikańskiej, prowadzonej w prasie, na ulicy i wśród młodzieży akademickiej—w nieznaczej liczbie posłów, ponownie uszczuplonej, reprezentować będzie w Izbie ideowe przeżytki monarchii orleańskiej i napoleońskiej. Socjalizm niezależny, będący uległym odpryskiem partii robotniczej, który dostarcza rządowi republikańskiemu ministrów, zaszczytnie nagradzanych przez monarchów i panują-

cych finansistów — również w liczbie uszczuplonej reprezentować będzie amalgamat idei socjalistycznej, ministerjalizmu orderowanego i cynicznego oportunisty o wybitnym zabarwieniu materialnego karierowiczostwa. Socjaliści niezależni w ostatniej kampanji stracili pięć okręgów wyborczych. Frakcja parlamentarna, która przedstawia właściwie wyłączną organizację socjalizmu niezależnego, w przyszłej pracy prawodawczej odegra jeszcze mniejszą samodzielną rolę i bardziej jeszcze w swych działaniach zależną będzie od ruchów panującego stronnictwa radykalnego. W pracy prawodawczej, gdzie ideowe różnice oświetlają wyraźnie i jaskrawo indywidualne zabarwienia całych grup reprezentacyjnych — socjalizm niezależny traci swą błądą i nieokreśloną fizjonomję i staje się podobnym w swoich wystąpieniach i poruszeniach taktycznych do większości demokracji mieszczańskiej. W głowach ideologów niezależnych tułają się jeszcze niewyraźne wspomnienia z ich przeszłości socjalistycznej. Dawne ideały, zdławione przez silniejsze dążenia osobiste, których pogodzić nie było można z przynależnością do stronnictwa robotniczego — od czasu do czasu ujawniają się jeszcze nazewnątrz w gorących wystąpieniach oratorskich i w starciach polemicznych Vivianiego, Zevaesa i innych z rojalizmem i klerikalizmem—lecz już jako przeżytki socjalistyczne, jako coś, co już dawno było i w wyraźnej formie więcej odtworzyć się nie da. Strata pięciu okręgów wyborczych wskazuje, że sfery robotnicze, wiążące się z frakcją socjalizmu niezależnego, tracą zaufanie w jej robotę pozytywną i w chęć popierania żądań robotniczych w zakresie polityki społecznej.

Przywracając prawa gilotynie p. Deiblera, frak-

cja socjalistów niezależnych wniosła dla siebie gilotynę ideową, która odtąd podcinać będzie jej zaufanie w środowisku robotniczym, prawa do rzecznicstwa w jego imieniu i bezlitośnie odrzucać będzie do kosza egzekucyjnego nawet mandaty Zevaesa i Cornauda.

Panujące stronnictwo wchodzi do Izby ze stratą 17 mandatów. Skład jego jednak jest znacznie odnowiony. Z różnych odcieni radykalizmu zwyciężył widocznie umiarkowany, czyli ministerjalny z czasów Clemenceau. Opozycja radykalna, grupująca się wokół Combes'a na wyborach przepadła. Opozycja radykalno-socjalistyczna, prowadzona przez Pelletana, który śmiało i otwarcie przeciwstawiał się dyktatorskiemu prezesowi ministrów, który z mównicy potępiał połowiczność i bezczynność w realizowaniu uroczyste proklamowanych reform, piętnował mianem starczej niemocy ministerjum radykalne za wskrzeszenie solidarystycznej gilotyny i za przypisywanie „profilaktycznej” roli oprawcom—opozycja ta poniosła porażkę, choć sam Pelletan wyszedł zwycięsko ze zmagania wyborczych.

Większość radykalna w Izbie reprezentowana jest zatem przez ludzi najbardziej umiarkowanych w stronnictwie, t. j. przez tych, którzy za czasów panowania Clemenceau stanowili grupę najbardziej mu oddaną, uległą, bezkrytyczną i niewolniczo posłuszną, nawet w tych sprawach i przedsięwzięciach, które miały się podstawowo z tradycją wolności republikańskiej i osławionej humanitarności radykałów francuskich. Te grupy poselskie mają dziś decydować o zakreślonym programie reform, znanym w szczegółach naszym czytelnikom. Wyłonią się zapewne nowe talenty krasomówcze, ujawni się stanowczość w walce z klerykalizmem i rojalizmem, na razie jednak wątpić należy wobec braku rękami, pozostałego w spuściźnie po przeszłości ministerjalnej Clemenceau, czy stanowczość ta ujawni się też w przeprowadzaniu reform z zakresu prawodawstwa robotniczego, które we Francji staje się co raz bardziej zacofanem w porównaniu z prawodawstwem państw ościennych.

Niewątpliwie niezłomnym rzecznikiem dojrzałych reform ubezpieczeniowych będzie ogół posłów socjalistycznych, których liczba*) wzrosła kosztem radykałów i socjalistów niezależnych.

Fakt ten wskazuje z jednej strony, że zakres wpływów zjednoczonych socjalistów systematycznie wzrasta z roku na rok, z drugiej zaś, co jest wielce symptomatyczne, iż wpływy ich obejmują już te sfery robotnicze, które dotychczas podlegały urokowi radykalizmu, będącego z imienia, lecz nie z ducha spadkobiercą w prostej linii dorobku ideowego czasów wielkiej rewolucji francuskiej. Dziś, sfery te, wyzwoliwszy się z ideologii „socjalistycznej”, przepasanej wstęgą odznaczeń monarszych i uginającej się pod ciężarem żelaznych krzyżów i medali austriackich i innych—składają swoje pełnomocnictwa w ręce takich ludzi wypróbowanych, jak Vaillant, Jaurès, Geusde,

Sembar, którzy nie po to wstępują na mównicę parlamentarną, by przesiąść się nazajutrz na fotele ministerjalne i wziąć rozbrat z swą ideową przeszłością dla względów wyższej i subtelniejszej polityki, niedostępnej dla umysłów demagogów ze stronnictwa socjalistów zjednoczonych.

Henryk Lukrec.

PRZESILENIE W ANGLJI.

Śmierć króla Edwarda zastała Anglję w okresie ciężkiego i długiego przesilenia. Skutkiem tej śmierci i wstąpienia na tron nowego króla, którego osobistość mało jest znana szerszemu ogółowi, jest nowy znak zapytania, powstający na widnokręgu politycznym w Anglji: którą z dwóch wielkich dróg, wobec których stanął świat polityczny Anglji — nowy król wybierze, gdzie skieruje swe sympatje, jak na politykę wpływać będzie usiłował? Czy wybierze drogę wielkich reform demokratycznych, polityki społecznej, ochrony klasy robotniczej, a w związku z tem nakładania coraz to nowych ciężarów na klasy posiadające, zniesienia izby lordów, autonomji Irlandji, demokratyzacji prawa wyborczego; czy też wybierze drogę inną: powrotu do starego budżetu, zachowania lecz zreorganizowania izby lordów, wprowadzenia cel ochronnych dla wwozu towarów, ewentualnej wreszcie wojny z Niemcami. Ta ostatnia zwłaszcza okoliczność — wojna angielsko-niemiecka, owa straszna zmora, ciężąca nad całym światem kulturalnym i zagrażająca w sposób bardzo poważny demokracji europejskiego Zachodu i wogóle samej idei demokracji i socjalizmu, ta wojna — stanowi punkt zasadniczy w konsekwentnych wywodach polityków obu obozów angielskich: obozu imperjalistycznego, zachowawczego, który do wojny prze i obozu liberalno-socjalistyczno-irlandzkiego, który z programem demokratyzacji państwa i społeczeństwa oraz autonomji Irlandji zwalcza drogi, do wojny zmierzające. Zasadnicze reformy demokratyczne, czy wojna angielsko-niemiecka—oto dylemat, wobec którego stoi dziś nie tylko polityka Anglji, lecz i polityka Europy całej.

Przed 2-ma blisko laty zdawało się, że sprawa została rozstrzygnięta. Wybrano politykę szerbkich reform społecznych. Uchwalono emerytury starcze, wypłacane przez państwo od 1-go stycznia 1909 r. Ta okoliczność w związku z szeregiem innych i z zamierzeniami dalszych reform społecznych wywołała gwałtowną potrzebę zwiększenia dochodów państwa.

Skąd je wziąć? Znowuż powstał nowy dylemat. Czy zerwać ze starą angielską zasadą wolności handlu, czy wprowadzić cła wwozowe. Cła uśmiechają się fabrykantom. Nie tylko ze względów fiskalnych mają one stronę dodatnią, gdyż, zwiększając wpływy państwa, tem samem zostawiają kieszenie fabrykankie w spokoju; niema potrzeby zwiększania podatków, podatki zapłacą spożywcy, płacąc drożej za obłożone cłem niemieckie towary. Ale prócz tych względów są jeszcze inne: młody przemysł niemiecki coraz to bardziej podbija sobie rynki angielskie. Stare firmy angielskie z najwyższą pogardą spoglądają na wdzierającą się do ojczyzny maszyn tandetę niemiecką; do pogardy przyłącza się wściekłość, skoro tandeta ta skutecznie z angielskimi wyrobami współzawodniczyć zaczyna. Zniszczyć ten przemysł, zniszczyć potęgę Niemiec — staje się coraz bardziej ideałem fabrykantów angielskich. A cła wwozowe, chociażby fiskalne, czyż nie mają znaczenia protekcyjnego? Prawda, że nie będą to cła prohibicyjne, ale od cła fiskalnego do

*) Z 54 w roku 1906 podniosła się obecnie do 75 według sprawozdań dotychczasowych.

protekcjonizmu — tylko krok jeden; wówz i przy cie fiskalnym zmniejszy się niewątpliwie.

Takie rozumowania wzmagają oczywiście apetyty fabrykanckie, roznamiętniają umysły, rozpalają wyobraźnię. Jakże może nie ogarniać fabrykantów wściekłość na swych przeciwników politycznych: liberałów, irlandczyków i socjalistów, którzy — zamiast zwiększyć dochody państwa przez wprowadzenie ceł, — uchwalają budżet Lloyd George'a, który nakłada ogromne podatki na obszarników, na rentę gruntową, uznając zasadę, że nie spożywcy winni być głównym źródłem podatkowym, lecz ci, których bogactwo wzrasta wskutek wzrostu ogólnego bogactwa narodowego, wskutek bardziej intensywnego życia społecznego.

A za podatki ściągane z obszarników da się ludowi poważne reformy społeczne! Oto hasło, z jakim izba gmin uchwaliła jesienią r. z. nowy budżet. Na rewolucję budżetową zgodzić się nie chciała izba lordów: dopuściła się niebywalej rzeczy w Anglii: odrzuciła uchwalony przez izbę gmin budżet, czem wzbudziła powszechne oburzenie ludu, zrodziła myśl zniesienia izby lordów. Pod tem hasłem i pod hasłem nowego budżetu odbywały się wybory do izby gmin.

Rezultat wyborów wbrew powszechnym oczekiwaniom nie przyniósł klęski wstecznikom. W nowej izbie znalazło się:

konserwatystów	273,
liberałów	274,
irlandczyków	82,
robotników	41.

Z powyższego zestawienia widać, że żadna z dwu wielkich partii rządzić nie może bez irlandczyków i robotników. I jedni i drudzy oczywiście przekładają liberałów, obiecujących irlandczykom autonomję, robotnikom — reformy, od konserwatystów, myślących o polityce celnej i przeciwnych autonomji Irlandji. Zdawałoby się przeto, że blok liberalno-robotniczo irlandzki jest zdolny do życia i uchwalania reform.

Na przeskodzie jednak stoi izba lordów, która reform dalszych nie chce dopuścić, a home rule stanowczo odrzuca. Trzeba zatem izbę lordów znieść. Ale, aby ją znieść, musi ona sama uchwalić swe zniesienie po uchwaleniu go przez izbę gmin. Tego lordowie nie uczynią. Tu potrzebny król, który zamianować może lordem choćby każdego Anglika i tym sposobem wytworzyć z izby lordów chociażby referendum ludowe, albo też stworzyć taką większość, jakiej mu potrzeba. Z przywileju tego jednak Korona nie ma ochoty skorzystać i tylko w ostateczności uciekłaby się do niej. Zmarły król Edward tem większe w tym względzie miał skrupuły, że ostatnie wybory, jakkolwiek dały większość ministerjum Asquith'a, jednak bardzo poważnie ją uszczupliły. Dawniejsza bowiem konstelacja stronnictw w izbie gmin przedstawiała się w sposób następujący:

liberałów	373;
konserwatystów	168;
irlandczyków	83;
robotników	46.

Zwrot w opinii wyborców zbyt jest wyraźny, aby król z lekkim sercem uciekał się do tak ostatecznego środka, jak nominacja całych bataljonów lordów dla przeforsowania zasad demokratycznych. Król Edward się wzdragał. Czy nowy król wzdragać się również będzie — trudno na razie przewidzieć. Jeśli nie zechce zastosować się do żądania ministerjum, nastąpią rządy konserwatystów, których początkiem musi być rozpuszczenie izby i nowe wybory; większości bowiem ministerjum konserwatywne w izbie nie posiadzie. Być może jednak, że król nie odmówi wręcz Asquith'owi mianowania mnóstwa nowych lordów, zażąda jednak zarządzenia nowych wyborów dla wybadania opinji,

od wyników tych wyborów uzależni zadowolenie żądania ministra.

W obu wypadkach przedstawia się niewesoła dla polityków obu obozów perspektywa wyborów powszechnych, bardzo kosztownych, zmuśnych i w dodatku dla żadnej ze stron niepewnych.

Tej ewentualności zarówno konserwatyści, jak liberałowie chcą uniknąć, i dlatego rodzi się szereg kompromisów.

A więc przedewszystkim: budżet Lloyd George'a, odrzucony przez lordów jesienią r. z. już został przez obie izby uchwalony. Obszarnicy płacić będą daleko większe podatki, niż dawniej. Z drugiej strony liberałowie, wbrew zapowiedziom przy wyborach cofnęli żądanie zniesienia izby lordów; natomiast na wniosek rządu izba gmin uchwaliła zupełne zniesienie kompetencji izby lordów w sprawie bilów finansowych; o tem, co jest bilem finansowym, decyduje przewodniczący izby gmin. Rozpatrywać i uchylać budżet ma przeto w przyszłości sama tylko izba niższa. Nado ta izba uchwaliła zniesienie rezolutywnego prawa veto izby lordów; przysługiwać jej ma tylko veto suspensywne, mianowicie: każdy projekt uchwalony przez izbę niższą w trzech następujących po sobie sesjach staje się prawem po nadaniu mu sankcji króla, choćby nawet przez lordów był odrzucony; dlatego jednak wymagany jest termin 3-ch lat pomiędzy chwilą wnieśienia projektu do izby gmin, a chwilą jego przyjęcia po raz 3 ci przez tę samą izbę i potrzebę, żeby projekt był do izby lordów przesłany conajmniej na miesiąc przed zamknięciem sesji.

Uchwalone rezolucje, zmniejszając oczywiście kompetencję lordów, umożliwiając im bądź co bądź w dziedzinie prawodawczej, nie dotyczącej finansów, poważną obstrukcję. Dlatego uchwały te są kompromisem w zestawieniu z pierwotnymi zamiarami rządu.

Tym uchwałam izby gmin przeciwstawiają się projekty lorda Rosebery'ego wniesione do izby lordów. Wnioski te zmierzają do zachowania dotychczasowej kompetencji izby przy jej zreorganizowaniu. Nie dość jest zdaniem Rosebery'ego być lordem dziedzicznym, aby wchodzić w skład izby wyższej. Członkowie tej izby mają być czterech kategorii: 1) wybrańcy lordów dziedzicznych; 2) mianowani przez króla; 3) wyżsi urzędnicy; 4) wybrańcy ludności.

Zrealizowanie wniosku Rosebery'ego stanowiłoby może pewną reformę; znaczenie jej jednak polityczne byłoby reakcyjnem; wzmocniłaby bowiem taką reformą zachwiane stanowisko lordów. Zadaniem demokracji jest dziś znieść lub zachwiać więcej jeszcze, stworzyć z Anglii państwo parlamentarne jednoizbowe i tem samem dać przykład konstytucjonalizmowi europejskiemu, który, idąc za wzorem Anglii, ustanowił niedemokratyczny system dwu izb prawodawczych.

Od stanowiska, jakie zajmie nowy król Anglii dużo zależy będzie, czy dziś już Anglja wstąpi wyraźnie na drogę demokracji, postępu i pokoju, czy też przed tem wstąpieniem wahać się jeszcze będzie czas jakiś, błądząc po omacku po drogach zmierzających do wojny z Niemcami.

Edw. Grabowski.

TRYBUNAŁ WOJUJĄCY.

W Towarzystwie literatów i dziennikarzy pękła bomba, która swym hukiem „zaalarmowała całą Warszawę”. Jednak, skutek tego pocisku jest nie większy, niż wybuch rakiety czy petardy, rzuconej ręką swa-

wolnego ulicznika. Głównie dlatego, że pocisk padł w próżni.

„Kurjer Poranny”, przytoczywszy uwagi „Społeczeństwa” w sprawie samowolnych wyroków Zarządu Tow. lit. i dzien., dodał od siebie kilka ostrych zdań pod adresem sędziów niepowołanych. Zdania te nadały sprawie właściwej i zasadniczej obrót nieoczekiwany, gdyż zaprzępaściły ją w wartkim potoku gniewu i oburzenia stowarzyszonych literatów i dziennikarzy. Nie mniej jednak podstawą artykułu „Kurjera Porannego” był protest przeciw dziwnym uroszczeniom Zarządu i stwierdzenie braku wszelkich danych do ogłaszania arbitralnych wyroków (opinji, jak chcą członkowie Zarządu). Na tym gruncie czysto formalnym stanęło również „Odrodzenie” w artykule redakcyjnym p. t. „Jakiem prawem”. Ponieważ w serji nowych wypowiedzi i potępień, w stanie wiecowego podniecenia i „rozczulającego roztargnienia” przeoczono samo jądro kwestji, o którą głównie chodziło w poprzednim naszym artykule, — na tem miejscu po raz wtóry jesteśmy zmuszeni wypowiedzieć kilka uwag, znów dotyczących formalnej strony głośnego dziś zatargu-

Zarząd twierdzi, iż „mając na uwadze młody wiek p. Kiedrzyńskiego, postanowił w jego sprawie wydać tylko *opinię ogólną* przy sprawozdaniu z posiedzenia.” Zaiste, szlachetna wyrozumiałość. Ojcowie literatury i dziennikarstwa chylą głowy, przyprószone siwizną, przed łatwo zapalnym młodzieńcem, i w swej wyniosłej pobłażliwości wydają „tylko opinię ogólną”, którą wyrażono w słowach najwyższego potępienia. „Tylko tej ogólnej opinji” dano jaknajwiększy rozgłos, opublikowano wyrok niemal w całej prasie warszawskiej, a następnie z rozmysłem czy bezwiednie pominięto najgłębszym milczeniem właściwe źródło zatargu literackiego. W sprawie tak ważnej, jak ustanawianie słuszności i prawdy, i tak drażliwej i subtelnej, jak godność osobista człowieka — Zarząd „wydał tylko opinię ogólną przy sprawozdaniu z posiedzenia”. Ta rzymska wyniosłość arbitrów, którzy jednak wyniosłość Rzymian wyrazili w upartem i tępem lekceważeniu praw, przysługujących każdemu oskarżonemu, — może być dziś uważana jedynie za śmieszny fanfaronadę i zaściankową próżność. Gdyby stowarzyszeni arbitrzy, mając rzekome wieloletnie doświadczenie i rozczulającą wyrozumiałość na błędy młodości — istotnie mieli na uwadze młody „wiek” autora — winni byli właśnie dlatego rozpatrzyć nieco bliżej sprawę, a nie od ręki, lekko, na zimno i en passant uchwalać potępienie.

SLÓW PARĘ WYJAŚNIENIA W SPRAWIE „OŚLEGO OBRAZU” Z SALONU NIEZALEŻNYCH.

W № 16 „Tygodnika Ilustrowanego” z d. 16 kwietnia ukazał się artykuł pióra znanego warszawskiego krytyka p. Tadeusza Jaroszyńskiego. Autor artykułu przytacza w nim historję obrazu namalowanego przez

osła ogonem, podaje fotografie, ilustrujące ów figiel zaś w tym fakcie bezkrytycznego przyjęcia na wystawę „Niezależnych” (Salon des artistes Indépendants) „obrazu oślego” widzi potwierdzenie swej opinji, wypowiedzianej przed kilku laty w artykule p. t. *Ad absurdum*.

Nawołując do ustalenia „pewnych form sądu estetycznego, ażeby uniknąć podobnie przykrych kompromitacji” p. Jaroszyński w zakończeniu artykułu podaje jako curiosum rysunkowe reprodukcję obrazu francuskiego malarza Gauguina (zm. 1903 r.), dodając: „Nie mam miejsca na rozbiór twórczości tego „geniusza”, załączam jednak reprodukcję jednego z jego utworów, ażeby publiczność mogła osądzić, jak wyglądają owe szczyty doskonałości, które się naszym artystom ukazują”.

Artykuł, czego można się było spodziewać, znalazł odpowiedź w tygodniku „Odrodzenie”, gdzie autor jej, p. Wacław Huzarski wini „Tygodnik Ilustrowany” za pomieszczenie rzeczy, „bałamucącej publiczność i znieważającej artystę”.

Postawienie takiej kwestji uważam o tyle mylnem, iż pismo z zasady nie może nie udzielić głosu krytykowi, który pozostaje na urzędowym stanowisku krytyka pism krajowych i zdaje się jest dostatecznie odpowiedzialnym za swe poglądy — zatem w tym razie dziwić się należy jedynie autorowi artykułu, iż błahy kawał kabaretowy rozdał do wielkości kwestji pierwszorzędnej, wysuwając zeń niejako epokowe znaczenie dla sztuki, reprezentowanej przez salon Niezależnych, niemniej iż niechęć jego dla młodej sztuki współczesnej wyraziła się w pewnym, że tak powiem, braku wiary estetycznej przez złączenie, „obrazu oślego” z obrazem Gauguina.

W istocie niewarto byłoby nawet głosu w tej sprawie zabierać, gdyby nie to, iż łączy się z zasadniczą kwestją stanowiska, jakie zajmuje względem sztuki Salon Niezależnych i poglądami rozsiewanymi wśród publiczności na reprezentowaną przezeń sztukę młodą.

Zgadzam się z p. T. Jaroszyńskim, iż ustalenie pewnych norm estetycznych byłoby bardzo pożądanem, nie mniej o tyle jest względnem, iż same one, będąc wyrazem sztuki danej epoki podlegają muszą wraz z nią ustawicznym zmianom. Tymczasem jednak nie od nich to uzależnioną jest możliwość powtarzania się w Salonie Niezależnych choćby rok rocznie podobnych żartów, lecz jedynie tylko od *istnienia cenzury* w stosunku do przyjmowanych i wystawianych prac.

Wątpię, by p. Jaroszyński chciał przeoczyć znaczenie i potrzebę podobnego salonu w mieście o bogatej różnolitej kulturze artystycznej.

Zresztą, by na to odpowiedzieć, poznajmy przede wszystkim czem jest Salon Niezależnych dla sztuki, i jakie są jego zasługi.

Idźmy zatem tą drogą.

Co wydaje dla sztuki główny salon artystów francuskich (Elizejski)?

Nazwiska J. P. Laurensów, Detailleów lub Bonnat, a w najlepszym razie Puechów, Mercierów i t. d. nie są to żadne — wartości dla sztuki prawdziwej, sztuczne, niekonsekwencją chwili wyśrubowane i niejako synekurowo utrzymujące się na zdobytych stanowiskach.

Co wydał Salon Niezależnych przez ciąg 26 lat swego istnienia? Oto wyszły stamtąd wszystkie główne kierunki artystyczne czasów ostatnich: impresjonizm, neoimpresjonizm, pointilizm, neoklasycyzm it. d. Więcej niż sto nazwisk artystów tego Salonu, że wymienię tylko Maneta, Claude Moneta, Renoira, Cezannea, Degeta — stanowi dziś chlubę muzeów europejskich, a utwory ich należą do najcenniejszych kolekcji muzealnych sztuki XIX stulecia. Jako jeden z przykładów weźmy obecnego dyrektora pinakoteki mona-

chijskiej Von Tschudzi, który płaci znaczne sumy za Cezannea, Sanguina, Van Gagha, Matissea i innych.

Wybitni krytycy uznają wszyscy zasługi tego salonu; w Paryżu J. Vauxcelles (krytyk z Gil-Blas), Apollinaire (z „Intransigeant”), Charles Maurice i Salmon (z „Paris-Journal”) — tutaj głównie znajdują dzieła wartościowe, krytyka niemniej niemiecka dodatnio się o nim odzywa (Meier Graëffa-Kłosowski), dalej Roger Marx, jeneralny inspektor sztuk Pięknych (Beaux Arts) zasługi jego względem Sztuki; podnosiła i u nas krytyka (A. Bazler jeden z dobrze orjentuujących się w sztuce współczesnej francuskiej).

Co do salonu Marsowego, to najwybitniejsze jego siły rekrutują się właśnie z Salonu Niezależnych: Girieud np, Bourdelle, Manguin, Friesz, Dufresne, K. Guerin, Sebasque, Flandrin, M. Denis i t. d.

Przytoczone dane wystarczają chyba aż nadto — i stanowią najlepszą odpowiedź co do wartości Niezależnych. Naturalnie z samego założenia wypływa, że będą się tu znajdować i wszelkiego rodzaju ekstrawagancje, szkolarskie próby bez jutra, nie zmienia to jednak istoty rzeczy i Salon Niezależnych ma wprost niesłychane zasługi jako placówka, skąd właśnie sztuka młodych, sztuka niezmordowanych Chercheurs'ów wybiega naprzód, mając otwarte pole dla swego rozwoju.

„Dowcipny kawał” urządzony z osłem Boroneli nie zachwieje — woale też posadami Niezależnych. Trzeba być tutaj, w Paryżu, by żart ten w należytem móżdżku widzieć świetle. Jest to zwykły figiel, urządzony dla sensacji przez Dorgeles'a, współpracownika „Paris Journalu” dziennika, którego urzędowych krytyków przytoczyłam powyżej jako zajmujących jak najprzychylniejsze stanowisko względem „Niezależnych”. Żart przytem zdarzył się u Frederic'a, w znanym kabarecie „Lapin agile”, który to kabaret jest tem dla „Niezależnych”, czem była sławna swego czasu kawiarnia „Les nouvelles Athènes” dla impresjonistów za czasów Degas'a, Maneta, Renoir'a, poety Villiers de l'Isle Adamazy.

Prawdopodobnie „wesoły kawał” inspirowany był przez samych artystów i tak go brać należało. Rozgłos, jaki zdobył, świadczy jedynie o ułomności natury ludzkiej, którą sensacja zawsze silnie zainteresować potrafi. Zupełnie słusznie też zauważył jeden z organizatorów wystawy „Niezależnych” znany malarz Girieud.

„Gdyby w Salonie Niezależnych” — rzekł on, — znalazł się przypadkiem obraz Puris'a de Chavannes'a z pewnością nie wzbudziłby tyle zainteresowania, co osieł Boronalego”.

Zrozumiałem jest, iż p. Jaroszyńskiemu nie tyle idzie o dotknięty honor Niezależnych, których to bynajmniej nie dotyka, ile raczej o sam fakt istnienia reprezentowanej dziś przez salon ten młodej sztuki.

Pochodzi to ztąd, iż szanowny ten krytyk, któremu najchętniej przyznaję głębsze lecz głównie muzealne wykształcenie, o ile dobrze zdaje sobie sprawę, gdy rzecz tyczy się sztuki wieków ubiegłych (świadczą o tem dobrze redagowane przezeń artykuły o Muzeum miejskim, pomieszczone w Kurjerze Warszawskim w r. b.) o tyle dla sztuki dzisiejszej nie znajduje w sobie kontaktu ni wykładników dla jej oceny. Sztuka ta staje się dlań obcą, potrzeby walki jej z ideałami epoki ubiegłej nie odczuwa. By wytworzyć w sobie głębszy sąd krytyczny, szczególnie dla wartości współczesnych trzeba koniecznie starać się wniknąć w zasadnicze ich podstawy, potrzebę ich powstania ująć, a przede wszystkim nie bać się przeprowadzenia bezwzględnie szczerzej rewizji dawnych ideałów, a także i ich wyników, choćby nam one miały obalić to, co wczoraj jeszcze za swe credo uważaliśmy.

Nie da natomiast stałych norm, ani też nie obali zwalczanej sztuki — przytoczenie jedynie reprodukcji

(w dodatku słabej) jakiegoś obrazu, tak jak nie da sądu o autorze pojedyncza myśl, wyrwana z jego dzieła a mająca dopiero w zestawieniu z dalszą istotne swe znaczenie.

W dorywczym swym artykule nie mam potrzeby bronić sławy artystycznej Gauguina, ma on już swą literaturę i zasługi jego dla sztuki są niezaprzeczone, wszak nawet i u nas zajmowano się tą ciekawą twórczością artystyczną parokrotnie (patrz studjum Topasa w „Nowej Gazecie”, artykuły ze sztuki Bazlera, zresztą widz nieuprzedzony znajdzie i w tej, choć słabej — reprodukcji mimo pozorną prostotę rysunku silną jego konstrukcję oraz ścisłość ujęcia samej kompozycji, związanej ze sobą wewnętrzną potrzebą i nie traktowanej fragmentowo.

Słów tych kilka niechże zatem będzie wyjaśnieniem niepotrzebnie roztrąbionej, w rzeczywistości dość błażej sprawy, a jednocześnie niechaj też rozświetli nieco błędne o sztuce „Niezależnych” pojęcia naszej publiczności, którą częstokroć tumanią dorywcze, bezładne sprawozdania.

Wacława Kiślańska.

Paryż.

LEON CHOROMAŃSKI.

DON JUAN ZAGROŻONY czyli POTĘGA TRADYCJI.

To dziecko zachwycające, żywe jak iskra, ma zawsze koło siebie kilka piastunek. Chodzą za nim jak pawice. Są to wysokie, przepyszne dziewczyny z wyniosłą piersią, piękne i leniwe. Przysiadają na ławkach, drzemają, szczebiocą między sobą, lub nucą proste piosenki, zachwycająco szczęśliwe, bez troski i chmury na swem młodem niebie.

Don Juanik wlecze po piasku ogrodowym błyszczącą szabelkę. Ścina kwiaty, rzuca się na murawę, zabawnie szasta nóżkami, jak wielki owad różowobiał.

Słońce się trochę zniżyło i osłabło. Westchnienie ulgi wionęło po rozprażonych drzewach. Odzywa się ukryta w gąszczu muzyka. Marzące o czemś dalekiem dźwięki uderzają don Juanika. Staje zdumiony, wznosi ciekawy paluszek, pyta naiwnie:

— Co to? Co to?

Wtedy jedna z piastunek nie może pohamować uniesienia. Podnosi dziecko, porywa je w górę, buja wysoko. Oboje promienieją szczęściem. Malec zanoszą się od śmiechu i usiłuje zerwać wstążkę, którą przystroiła włosy. Wreszcie ona osypuje twarz jego szalonymi pocałunkami, pocałunkami nienasyconymi, jak gdyby ten maleńki człowieczek był jej kochankiem.

Wbrew spodziewaniu ten chłopiec rozkoszny zaczyna chorować, robi się smutny. W osiemnastym roku wygląda dziecinnie. Jest to wysoki szczupły młodzieniec o twarzy bladej jak słońce późnej jesieni. Słodkawy uśmiech ust delikatny robi go podobnym do anemicznej dziewczyny. Wypłowiłe oczy proszą, aby go nie urazić. Patrzy z nich smutek jak nieuleczalna choroba. Podając rękę zwraca się nieco bokiem, jakby chciał ukazać się z profilu lub wogóle przestać istnieć. A gdy wychodzi, chwiejąc się na długich nogach, robi wrażenie, że poszedł grzać się na słońcu.

W całym domu ani jednego dzwonka, aby nie drażnić napróżno jego nerwów. Głębokie strzyżone

kobierce, na których kroki głucho. W komnacie sypialnej bardzo wysoki strop, a na nim widać ognistemi kolorami malowaną historję Mirrhy.

Pełno również zwierciadeł olśniewająco czystych i zadumanych. Kwiaty w wazonach z różnobarwnego kryształu. Łoże obszerne i miękkie. Nad niem namiotek z czerwonego aksamitu z frędzlą złotą i kolumienki jaspisowe.

Dostojny młodzieniec — ostatni potomek rodu Maranów — gaśnie zwolna. Ręce ma białe i wężle. Robi wrażenie, że nie utrzymałby szpady. Natomiast lubi się często zamyślać.

Koło zamku ciągnie się długa aleja topoli włoskich, wysoka i skupiona. Szaro w niej i cicho jak w wąwozie. Na końcu lśni sadzawka. O zmierzchu latają tam gęsto sówki i nietoperze.

Tu najchętniej przychodzi don Juan. Wymyka się małą, żelazem obitą furtką. Jest mocno pochylony, jakby dźwigał brzemię grzechów swych przodków znakomych.

Przechadza się w milczeniu. Jeżeli ukaże się kto na drodze don Juan schodzi na bok. Twarz jego zalewa się łagodnym rumieńcem.

Wieczorem pije czekoladę i zjada dwa jaja na mięko, spoglądając melancholijnie na portret matki, która już dawno nie żyje. Usługują mu młode dziewczęta w strojach średniowiecznych, z obnażoną szyją i ramionami.

Po wieczerzy niekiedy zwiedza zbrojownię. Marszałek dworu objaśnia mu po raz tysięczny i pierwszy którym mieczem, który sławny przodek odrąbał to lub owo wrogowi państwa lub swemu osobistemu. „A kiedy wypadłe z rozprutego brzucha wnętrzności tarzały się i babrały w piasku, Rodrigo wsparty na dymiącym krwią mieczu zaczął przemowę, w której kwiecistymi zwrotami wystawiał wdzięki porwanej przemocą żony powalonego — donny Angielki“. Don Juan słucha. Z twarzy jego trudno wyczytać, czy go to bardzo nudzi. Kiedy zaczyna ziewać — znak to, że czas do sypialni.

Tam wchodzi lokaje. I rozbierają księcia. Tak się robiło od wieków. Ani to dziwi ani razi don Juana. Oto już cały okryty kołdrą, tylko głowę widać i miękkie bujne włosy.

Wchodzi dziewczęta. Zaczynają nucić miłą pieśń dobranocną. Śpiewają o światłach, które pogasły w oknach, o okrętach, które zawinęły do portu, o morzu, które śpiąc cicho pluszcze. Z pod stropu płynie słodki dźwięk fisharmonji.

Don Juan leży i słucha. Patrzy na ich małe ręce, złożone jak do modlitwy, na trzewiczki z ostremi czubkami. Na każdym siedzi sztuczny motyl kolorowy.

Gdy pieśń skończona, pochylają się wszystkie, dygają etykietalnie, odchodzą cicho.

Jest sam... nareszcie.

Pokój tonie w półświatle smutnem perłowem.

Cisza w całym zamku. Ani jednego oddechu. Dobrze.

Wypłowiłemi oczyma patrzy don Juan niby w dalekie widziadło w szalejącą z żądz Mirrhę. Jej dziko rozwiane włosy krzyczą jak luna rozżartego pożaru.

Kiedy tak łąka lśni cała szkliwem badyli i małymi gnijącymi bajorkami, a słońce — ogromne, rozplaszczone, lejące się słońce zniża się nad wierzbami — pełne dobrotliwej łaskawości — wychodzi karzeł w kapeluszu z piórami.

Kłania się. Pióra zamiatają szorstki piasek drogi.

— Szlachetny don Juanie — prawi — pamiętaj coś winien twemu rodowi. Znałem twego ojca, panie, znałem i dziada. Znałem stryja. Wszystko to byli dzielni uwodziciele i umierali na paraliż postępowy. Pamiętaj o tem, don Juanie!

Karzeł znika.

Słońce zaszło. Szarym tonem zaciągając się pozynają pola. Niebo błędnie. Czarne ptaki lecą na nocleg.

— Halucynacja — myśli don Juan. — Dziwaczna halucynacja!

Ogarnia go niepokój. Przenika go do głębi melancholją dnia umarłego. Nagle jedno spojrzenie w samotną głąb widnokregu i trwoga zabobonna chwyta go za gardło! Jest tak młody! Życie będzie tak długo jeszcze! I zawsze ta sama szydercza pustka naokoło!

O Boże, Boże! Co robić z tą masą godzin, niezapelnionych niczem, dzwoniących nudą jak skazaniec kajdanami!

Nogi drżą. Włosy stają słupem, śmiertelna bladeść i chłód na twarzy. Zimne krople potu ściekają ze skroni nieszczęśliwego, jak lzy. A zęby szcękają, szcękają niepowstrzymanie, aż chce krzyczeć, lecz groźna ręka dławi mu piersi!

Na wielkim dziedzińcu, gdzie wieczorem płonie rząd zielonawych latarni, przechodzi don Juan obok leżącej pokotem zwierzyny. Steżale krople krwi stanęły żalonym korałem na pyszczku łani. Jej wielkie oczy — pełne marzącej łagodności lasu — zamknięte, a surowa rana z boku wskazuje, którędy wyszło cudowne życie rączego stworzenia. Dalej jelenie, łosie o tęgich rosochatych rogach; odyńce o skrwawionych klach, z wywalonymi sinemi jęzorami; skurczone potworne szare niedźwiedzisko, o oczach wysadzonych na wierzch, otwartych i steżalych w rozpaczliwej wściekłości; długi rząd zajęcy — tu i owdzie ruda kita lisa i jego pysk spiczasty.

Don Juan przyspiesza kroku. Zatyka nos.

W powietrzu unosi się odór stygnącej krwi, żywicy i futra.

— Bydło kulturalne — mruży, uchylając zresztą bieretu na widok zgrai myśliwych w opiętych rajtuzach i kurtach, zziąjanych, czerwonych od próżności i zadowolonych mordem.

— Komplet gęb zwyrodniałych — szepce mściwie, patrząc z pod oka na pełne krótkie twarze, rozrosłe szczęki, ścięte czoła, oczy świecące wesołą zarumiałością.

Stanowczym krokiem zmierza do apartamentów ciotki. Ta osoba wychowuje go po śmierci rodziców. Siedzi właśnie w głębokim fotelu z wysokim oparciem, nad którym unosi się korona książęca. Jest to majestatyczna, piękna pani. W jej śnieżnych włosach wpięte lśnią perły. Na piersi, która nie straciła kształtu, połyskuje krzyż opalowy.

Don Juan oświadcza z uszanowaniem, że chce zostać jaroszem.

Ciotka przykłada do oczu szkiełka. Przez chwilę patrzy na młodzieńca, jakby się chciała upewnić, że to jej najdroższy siostrzeniec. Poczyna mówić, uderzając się lekko po dłoni lornetką.

— Dziękuję ci, mój chłopcze, żeś przyszedł. Chcę z tobą pomówić otwarcie. Na świętego Wawrzyńca skończysz lat osiemnaście. Jesteś już stary, mój chłopcze!

Tu ciotka uderza don Juana po ramieniu oprawną w złoto lornetką. Uśmiecha się z żartobliwą melancholją, odsłaniając rząd pysznie zachowanych zębów. Don Juan lekko się czerwieni.

— Czy często zastanawiasz się nad wielkością i wszechmocą Boga? Czy patrząc na zieloność pól, słuchając skowronków, myślisz, że to On stworzył to wszystko? Ze opiekuje się liszką, która pełźnie po liściu, łasicę, co wysmukłą mordkę wystawia z gąszczu, orłem nad górami, rybą w głębinach wodnych, ostem w parowie... Ale szczególną troską otoczył człowieka — od nędzara z sakwami, pełnemi wyproszonego chleba, od robotnika, co siada przed miską cynową, na której mi-

zerna kurzy się strawa, do króla, któremu więcej niż złotogłów ciążyą sprawy państwa. Każdy ma swój los wyznaczony, mój chłopcze. Dlaczego powiedz mi, jeden człowiek chroma o kulach przez całe życie, a drugi jest linoskokiem? Dlaczego jeden człowiek drży z zimna na barłogu i zrywa się, gdy kogut zapieje o czarnej jeszcze nocy, a drugi wyleguje się dowoli w puchach? Dlaczego jeden zgłębia z powagą mędrca odwieczne tajemnice, a drugi z twarzą ubieloną bawi gawieź uliczną? Bóg tak chce, prawda? Wśród tego ładu, ustanowionego przez Boga, są galernicy i bohaterowie. On wywyższa rody. (Tu palec ciotki wznosił się w górę). Jednym z tych rodów, które Bóg podniósł wysoko, jest twój ród, mój chłopcze. Maranowie oddali królom swym i państwu wiekopomne zasługi. Miecz ich spracowany o rzetelnych potrzebach. Ród wasz odznaczał się ognistą męzkością. Jak piorun biliście wrogów, jak piorun wpadali do alków. Zdobywaliście kobiety wszędzie, gdzie zakwitła piękność niewieścia (Don Juan jest tak rozrzuwniony, że niewylane lzy pała go w gardle!). Niejeden z młodych Maranów (tu głos ciotki zabrzmiał rzewniej) obarczony krwią zbyt wrzącą wydawał się młodzieńcem raczej przygnębionym i nieśmiałym, dopóki nie zapłonął namiętnością. Mój drogi chłopcze, niezadługo może opuścisz ten zamek—pojedziesz na dwór królewski. Zanim to nastąpi, zacznij żyć don Juanie. Upewnij swoją ciotkę, żeś jak inni Maranowie — piorunem. Wierzaj mi: Bóg rzuca piorunami i wie co czyni. Rozumiesz, że nie mogę wysłać na dwór królewski, gdzie opinja o Maranach jest ustalona, wstrzeźliwego niedołęgi. Widzisz—jestem otwarta z tobą, mój chłopcze: czterdzieści młodych dziewcząt czeka na twym dworze! Wszystkie to są panny gołębiej skromności i z dobrych rodzin. Ale wierzaj mi: kobieta posiada zmysł historyczny! Jeżeli nie każda potrafi ściąć głowę wrogowi, jak Judyta, to każda pocałunkami swych ust umie obudzić duszę przyszłego bohatera. Czy wyrzekasz się dzielności przodków? Nie? Wiedziałam o tem! Idź więc i wiedz, że dziewczę niewinne (tu ciotka spuściła oczy) rzadko bywa zbyt surowe dla młodzieńca tak znakomitego jak ty rodu!

Słowa ciotki były dla don Juana głosem, nawołującym do porządku. Istotnie, trzeba raz zacząć. Zrozumiał, że życie stawia twarde wymagania. Jednym z takich było—mieć kochankę, uwieść ją, porzucić, unieszczęśliwić. Było to w tradycyjnym programie rodu, do którego spełnienia był powołany.

I oto don Juan zaczyna wypatrywać ofiary dla swych zmysłów. Niekiedy krzywi twarz złośliwie, wykonywa kilka energicznych rzutów gimnastycznych, jakby w zamiarze podniecenia leniwej krwi. Jednym zamachem pozbywa się skromności. Bezwstydnie wpatruje się w dziewice. To znów, jakby na znak umówiony, wszystkie one spojrzą pytająco na księcia, a don Juan uśmiecha się irocznie i jest nawet tak bezczelny, że nuci im w twarz impertynencką piosenkę z refrenem:

la, la, la! la, ri, ta.

Ach, niech tylko don Juan zatrzymał na jednej z nich spojrzenie dłużej, niż na innych, już ta stawała się czujną, skupiała się w sobie, wabiła go cichutkami uśmiechami. Kładła białą dłoń na okrągłej piersi i wzdychała. Kusila go ruchami pełnymi słodyczy i bezgranicznej cudowności.

Nieraz w piersi don Juana wrzał rozkoszny niepokój. Gdyby tak sięgnąć po jedną z nich! „Nie nie, nie”—powtarzał, usiłując zagłuszyć bicie serca. Zdawało mu się, że kiedy on zaczyna wodzić po nich oczyma one oczekują—pełne ufności, że stare grzechy świata potoczą się raz przeciw dawnym łożyskami. Spoglądał na nie z oburzeniem, odchodził. Koń, że mówi do nich:

„Do pioruna, nie potrzebuję waszych usług, moje panie!” I widział, jak czterdzieści niewiniątek tarza się w głuchej męce po rozpaczliwych ugorach cnoty!

Marzenie było dla don Juana zawsze tą furką, przez którą wymykał się od ludzi—upiorów. Nieświadomie tkwiła w nim myśl, że nigdy nie potrafi naprawdę uściskać dłoni żadnego ze swych dworaków.

„Po za zamkiem—rozmyślał—pleni się także życie. Za błotami, na których rosną kaczeńce i dzikie, trędowate storczyki — zapach ich mdły, duszący! — mieszkają po wsiach wieśniacy. Krają ziemię plugiem, oblewają potem we żniwa. Drugą kategorię ludzi—zbiedzonych marzycieli—stanowią żebracy. Tych jest jak mrowia—może nawet zawiele w tem państwie, ale widocznie Bóg lubi, aby doń mrucono pacierze. Dalej idą rozmaici rzemieślnicy... Ach, jaka szkoda, że dziś rzemiosło upadło! Rzemieślnik nie jest już artystą! Żołnierze są dziwną odmianą ludzi, postrojonych jak koguty, zadzierzystych i próżniaczych. Dworacy? Cóż mogę rzec o dworakach—o tych ludziach z pochlebstwem w zanadru! Łatwiej o dzban mleka w pustyni, niżli o prawdę w ich oku! A wielkie miasta dymią jak ołtarze Baala! Pomyśleć tylko, że tysiące kobiet umiera tam podobno śmiercią powolną, gnije w rozpuszcie, zarażając ulicę niezdrowym wyziewem wynoszonego na sprzedaż ciała, a wszyscy, nie wyłączając filozofów i filantropów patrzą na to z bezczelną rezygnacją. Nie mówię już o kobietach uczciwych, które... (tu don Juan machał ręką z lekceważącą niechęcią). I ten nieustanny ryk wielkiego miasta, wrzask warjata, szamoczącego się na łańcuchach, niezmordowanego jak potwór o siedmiu głowach, które nigdy nie zasypiają jednocześnie i gdy jedne oczy zachodzą bielmem znużonej rezygnacji, w innych pluska i szczydzi złośliwe życie!”

(dok. nast.).

POCZĄTKI PROCESU USPOŁECZNIENIA.

Człowiek wstępuje w pole obserwacji już jako istota społeczna, t. zw. żyjąca społem z innymi ludźmi. Nie spotkano dotąd jednostki ludzkiej żyjącej normalnie w zupełnym odosobnieniu, bez wszelkiego stykania się z indywidualiami tego samego gatunku. Jeśli jednak nieznamy człowieka zupełnie niespołecznego w znaczeniu tem, iżby wyrósł i rozwinął się w kompletnej niezależności od najdrobniejszych gromady współtowarzyszów, któryby zatem nie ulegał innym zewnętrznym wpływom, jak tylko oddziaływaniu otaczającej go przyrody—to znamy *stopnie* uspołecznienia. Rozumiem przez nie formy akomodacji, czyli wzajemnego uzależnienia, współżyjących ludzi wywołane rodzajem i rozległością współdziałania. Ponieważ między temi formami istnieje gradacja co do natężenia akomodacji, albo — co wychodzi na jedno—co do natężenia współdziałania, przeto można oznaczyć je jako *stopnie* i mówić o procesie uspołecznienia, jak gdybyśmy mieli jednostajnie wznoszącą się ewolucję ludzkości.

Jeśli ludzie żyją stale gromadnie ze sobą, wówczas co do ich współdziałania w obrębie pewnej jednostki istnieje tylko dwojaka możliwość: będzie się ono odbywało albo przy wyzysku jednych przez drugich. (Ze pomiędzy współżyjącymi ludźmi zachodzi w ogólności *jakieś* współdziałanie, będzie uzasadniane osobną przy nadarzających się sposobnościach). W grupie rodowej, ¹⁾ najpierwotniejszej zapewne społeczności, kooperacja jest podwaliną, zasadniczą ideą, dla

¹⁾ Co się tu mówi o grupie rodowej, to *mutatis mutandis* stosuje się też do zespołów złożonych z grup rodowych: rolę jednak odgrywają w tym wypadku nie indywidualia lecz właśnie grupy rodowe.

której członkowie grupy przywykają do siebie. Toż we wspólnym zdobywaniu środków utrzymania, we wspólnym potykaniu się z wrogiem, człowiekiem lub zwierzęciem, we wspólnym usuwaniu przeszkód, które przyroda zaściela ich drogę życiową — szukają oni i znajdują ułatwienie walki o byt. Warunki tej walki są mało skomplikowane wobec prymitywności środków, którymi rozporządza pierwotnie człowiek do jej toczenia. Dlatego nie mogą zróżniczkować się uzdolnienia, lecz członkowie grupy poddani działaniom tych samych wpływów, będą — o ile wogóle przetrwają — próby życiowe — posiadali mniej więcej takie same uzdolnienia i ich udział we współdziałaniu będzie też mniej więcej jednakowy. Oczywiście należy tę uwagę ścięśnić do granic współdziałania w obrębie tej samej płci; w tej chwili obchodzi nas tylko kooperacja w obrębie płci męskiej, jako nadająca z reguły ton społeczności. Jedynie przodownik grupy wzrasta ponad miarę jej przeciętnego członka zaletami potrzebnymi w danych stosunkach, chytrą, przezornością, odwagą, doświadczeniem, czy jakimkolwiek właściwościami fizycznymi²⁾. Że z samej natury jego wywyższonego stanowiska nie wynika jednak jeszcze bynajmniej, iżby ci, którym przewodzi, byli mu poddani bezwzględnie. Istnieją zarówno przykłady silnie napiętej, jak i luźnej władzy naczelnika, kiedy to jest on tylko *primus inter pares*³⁾.

Współzycie ze współdziałaniem działa jak przyrząd szlifierski; ściera szkodliwe nierówności, dopóki odpowiednio urobiona jednostka nie przylgnie do innych. Gdzie indywidua żyją ze sobą, niemożliwe jest, aby każde z nich mogło rozwinąć w całej pełni swój egoizm tak, jak je prze do tego natura — niemożliwe bez rozsadzenia wspólności pozycia, konieczność jej jest zaś założeniem, z którego wyszliśmy. Na mocy prawa nieprzenikliwości społecznej dwa sprzeczne egoizmy nie mogą istnieć w tem samym miejscu: albo oba zmniejszą swę ekspansję do tego stopnia, żeby mogły działać obok siebie, albo jeden zostanie wyparty przez drugi i — zniszczony — przestanie istnieć, lub też — ujarzmiony — będzie musiał zmienić się w służebność poddańczą. Tak czy owak — o ile tylko nie nastąpi zupełna ekstynkcja jednego egoizmu — wynikiem konfliktu jest zawsze wzajemna akomodacja. W pierwszej ewentualności, jako sposób zakończenia konfliktu jest ona widoczna bez bliźszych wskazywań. W drugiej, gdy jeden z przeciwników bierze górę, nietylko zwyciężony musi zastosować się do zwycięzcy, ale i ten, chcąc utrzymać swą przewagę, musi w sposobie panowania zastosować się do zwyciężonego. Rzecz jasna, że inne są sposoby utrzymywania w karchach natury gwałtownej, a inne arkana górowania nad naturą chytrą i podstępą.

W pierwotnej grupie rodowej może zachodzić tylko pierwszy rodzaj akomodacji — równomierne powściągnięcie się egoizmów, a to ze względu na równą wartość jednostek we współdziałaniu. Nie jest ono zresztą trudne wobec wspomnianego małego zróżniczkowania, przy którym nie może sprzeczność egoizmów wyrobić się w znacznym zakresie. Egoizm niszczący nie zdoła rozwinąć się w tej grupie (oczywiście jako zjawisko normalne), boć istnieje ona dla „spółzycia wielu, nie dla przeżycia jednego. Powstająca tu ako-

modacja jest przystosowaniem się osobników jeszcze niejako bezkształtnych, zszeregowanych tylko przez ten sam interes — utrzymania życia, — przystosowaniem się oddzielnych brył, wystarczającym dla niezłożonego współdziałania. Zachodzi raczej dlatego, że pośród indywiduów nie wyrobiły się jeszcze różnice, niż dlatego, że zmodyfikowały one pozytywnie swe osobistości. Osobniki nie mogą wrócić się w siebie, wytworzyć całości, w której bije jedno tętno, bo niewyrobiona indywidualizacja niedopuszcza do wzajemnego uzależnienia opartego o właściwości osobiste. Wszyscy posiadają mniej więcej te same kwalifikacje, więc też wystarczają sami sobie na długiej linii działania. Granice swobodnego postępowania, w obrębie których pozostająca jednostka nie dotyka interesów swych współtowarzyszów, zakresłone są szeroko. Dopiero poza nimi rozpoczyna się współdziałanie, wskutek czego jednostki uczestniczące w nim powiązane są ze sobą tylko — rzecby można — w zewnętrznych punktach swych istot.

Najłatwiejszym sposobem zyskania środków utrzymania jest zabranie ich drugiemu. To też ludzie praktykowali go zdawna⁴⁾ — nie wobec członków tej samej grupy rodowej lecz wobec obcych. W obrębie pierwotnej grupy rodowej rabowanie było niemożliwe ze względu na panujący komunizm i wspólne blizkie życie. Natomiast wobec obcego nie istnieje krępowanie się; czyn spełniony na obcym posiada zupełnie inną kwalifikację, niż taki sam spełniony na współczłonku grupy. Wrogię usposobienie wobec obcego, wyrządzanie mu szkody, bywa uważane nietykalne za rzecz normalną, lecz nawet chwalebą⁵⁾. Że skalpy zabitych obcych uchodzą za drogie sercu indjanina świadectwa męstwa, wiemy jeszcze z opowieści dziecinnych; znany też jest szeroko rozpowszechniony zwyczaj, że młodzieniec wtedy dopiero zyskuje prawo pojęcia żony, gdy zabije kilku obcych. Przytoczę parę przykładów na to, że ludzie na niskim stopniu cywilizacji nie znają zupełnie świętości cudzej własności, gdy idzie o obcego, lecz że przeciwnie uważają wszystko, co doń należy za rzecz niczyją, po którą też z zasady wyciągają chciwą dłoń i że nigdy przywłaszczenie sobie rzeczy obcego nie uchodzi za zdrożność. W połowie XIX w. pisano o współczesnych stosunkach w jednym z plemion albańskich, że „rabunek i kradzież, zwłaszcza kradzież bydła, popełnione na obcym są wolne od kary”⁶⁾. U eskimosów „nie gani się kradzieży jako kradzieży, byle była popełniona na koszt obcego. Gdy się chwyta eskimosów na gorącym uczynku kradzieży, są bardzo zakłopotani, ale jedynie dlatego, że byli dość niezręczni, by dać się złapać”⁷⁾. W plemionach tubylczych w Congo „morderstwo popełnione na obcym, na osobniku z innego plemienia, nie bywa ścigane; murzyn, któremu uda się okraść białego, zyskuje nawet na poważaniu u swych współobywateli”⁸⁾. A dzisiejsza *Fremdenindustrie* łupiąca bez skrępułów *etranżera* czy *forestiera* jest zmodernizowanym objawem zupełnie tego samego typu. (d. c. n.) *Mieczysław Szerer.*

⁴⁾ *Oppenheimer*: Der Staat, 1908, str. 14, powiada: „Rabunek! Gwałtowne przywłaszczenie! Dla nas współczesnych rozwiniętej kultury, opartej właśnie o nietykalność własności, tracą oba te słowa zbrodnią i kryminałem; wrażenia tego nie pozbywamy się nawet wtedy, gdy przekonujemy się, że w pierwotnych stosunkach życiowych rozbój na lądzie i morzu uchodzi za najpoważniejsze zatrudnienie tak samo, jak rzemiosło wojenne, które przecież bardzo długo jest też tylko zorganizowanym rozbojem masowym”.

⁵⁾ Święty wywód o stanowisku obcego jest u *Makarewicza*: Einleit. ind Philosophie des Strafrechts, 1906, str. 273, i nast.

⁶⁾ *Hahn*: Albanesische Studien, 1853, str. 179.

⁷⁾ *Letourneau*: L'évolution juridique, 1891, str. 19. Ten sam autor podnosi (str. 14.), że pszczoły szanują zawsze zapasy nagromadzone we własnych ulach, często natomiast usiłują plądrować obce ule, albo nawet czyhają na powracające obce pszczoły obławowane łupem i obrabowują je.

⁸⁾ *Winters*: L'État indépendant du Congo, 1899, str. 267.

²⁾ *Rochefort* w swej *Histoire naturelle et morale des Iles Antilles*, 1716, str. 519, podaje, że kto u Karaibów starał się o godność naczelnika, musiał odznaczyć się walecznością w kilku bitwach, następnie musiał zwyciężyć swych współzawodników w biegu na wysięgi, w pływaniu, nurkowaniu, dźwiganiu ciężaru oraz znośić cierpliwie i pogodnie zadawane mu umyślnie męczarnie. — Z Bożej łaski uzyskuje się panowanie łatwiej.

³⁾ Tak np. podaje *Steinmetz*: *Ethnologische Studien...*, 1894, str. 72, wedle *Crantza*, Grenlandczycy nie posiadają organizacji ani praw, co najwyższej mężczyźni z kilku rodzin zamieszkujących jeden dom (a więc z jednego rodu) poddają się władzy porządkowej najpoważniejszego i najdoświadczeńszego z pomiędzy nich, który jednak nie może ani im rozkazywać, ani ich karać.

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Z najmłodszej poezji Polskiej. Bronisława Ostrowska: Chusty ofiarne. Warszawa, 1910. Pod znakiem poetów. Wydawnictwo Jakóba Mortkowicza.

Spokojnie patrzy poetka wokoło. Kiedy się czyta te poezje—spływa określone zupełnie wrażenie cichej przystani. Oto widzę przystań morską i daleki, daleki szmat wody poprzez zwątpienia i rozpaczę, skargi i tęsknoty, poprzez burze morskie i huragany prowadzi droga do tej przystani. Wszystko to trzeba przejść. Wszystko to już było. A oto teraz jest przystań cicha i rozłożone słońcem wody. I przestrzeń—wielka, otwarta, wzywająca. I jasna, głęboka świadomość swej własnej życiowej wędrówki.

„Chusty ofiarne” — to rezultat zatrzymania się przez chwilę w życia ciągłym pochodzie, to chwila zastanowienia i głębokiej kontemplacji—to rezultat zamysłu dojrzałego ducha—to zwycięstwo ducha wolnego, zwycięstwo życia. Jasno i wyraźnie znać tu ten promienny stosunek do życia, tę jedność, stałość i ciągłość życiową. Poetka zdaje sobie jasno z tego sprawę, że jest jednym z przemijających tylko tego wiecznego życia. Lecz nie przeraża jej to bynajmniej—i obcą jej jest rozpacz dusz tworzących się, obcym jej jest tragizm młodzieńczy.

„Chusty ofiarne”—to piękne, rozumne pogodzenie się z rzeczywistym życiem. To głębokie filozoficzne zrozumienie roli ducha człowieczego w życiu—i życia tego piękności.

Czytam śliczny cykl „Macierzyństwo”. I widzę, że choć poetka mówi

„Przeminęłam jak skarga daleka
Fali, mrącej wśród rzecznych komyszy.
Rzeka życia ucieka... ucieka...”

To jednak —

„Cóż, że morze jej skarg nie usłyszy?
Morzem w ujściu swem staje się rzeka
Ciszej duszo... ciszej... ciszej... ciszej...”

(IV)

I choć chwilami (a któraż dusza żyjąca i czująca nie zna takich chwil?) wspomnienie dawno ubiegłego szczęścia, taką tęsknotą pada na jej śpiewne usta, że woła:

„A byłaś ponad wszelkie życia usiłowanie
I ponad wszelką, we mnie moc życiowych wiar,—
I za jeden szloch wielki przy twojem kolanie,

Za jeden słowa twego święty, żywy dar
Dałabym życia mego nadaremny gwar...
— Za to co się nie stanie... nie stanie... nie stanie...
(„Tęsknota”).

To jednak w chwilę później wraz ze spokojem wraca na poetkę głęboka świadomość niezmiernie trwałej wartości takich przeżyć i błogosławi

„...temu, co mi w serce wlał
Ciebie i twojej doli trujące gorycze,
Ciebie i twych tajemnic nieprzejrzany szal
i jak pieczęć twe jasne pogodne oblicze”, bo rozumie, że przez to może powiedzieć —

„Boś mi otwarła sobą błędne ducha koło,
z którego nigdy więcej wyjść nie zdołam już”.

Wielkie i rozumne ukochanie życia tchnie z każdej kartki tego przedziwnego zbioru. I kiedy czytamy wiersz, który nadał tytuł całemu zbiorowi—jasnym już jest nam zupełnie czemu poetka musi powiedzieć swej rozbolejącej, skarżącej się pod krzyżem duszy

„Było Ci duszo isć,
Jak Ruth w pogodny dzień
Na łan
I żąć

I zbierać plonów pokłosie
Było Ci konew wziąć
W pogodne rano
I czerpać wodę źródlaną
Z tysiącem słonecznych drgań!

Oto krzyk życia—oto prawdziwe życia tego odczucie:

„Idź, idź!
Na twe pokutne, niewolnicze drogi,
Idź!
Zawodne gniazdo wić
Pośród płonących strzech,
Po borach szukać ech,
Po bagnach gonić ogniki...
Idź! idź!
Ostaw nietknięte cudem chusty Weroniki,
Na daremnej ofiary żywota
Zszarzały łach”.

Poprzez głębokie odczucie nędzy, męki i bólu człowieczego, poprzez głębokie zrozumienie zawodności wielu wysiłków ludzkich potrafiła poetka wydobyc z swych głębi ten mądry rozumienia uśmiech, to promienne, „dziecięce”—powiedziałyby Nietzsche—
„jasne bożę”—mówi poetka

„Co się z pod zwału smutków nagle nieraz budzi
I niespodzianie skrzydła rozwija pod zorzę.
Że tedy drobiazg: uśmiech przechodzących ludzi,

Wzrok dziecka, pąk rozkwitły, lub przelot motyla—
Całe światy radości niewiednie odchyła...”
(„Zadumy”)

Jest to głębokie zrozumienie i odczucie rzeczywistego życia. Te „echa pieśni żywota wieczyście powrotne” wracają rzeczywiście ciągle na usta poetki—i staje się ona natchnioną ich śpiewaczką. Głębokie wyczucie piękności życia budzi w poetce głęboką wiarę w to, że muszą paść na dusze ludzkie ukojne deszcze, co uwiją krąg zgody prześwietny („Deszcze”). Idąc „ku zgodzie” tworzy śliczny cykl („Wiosną”, „Latem”, „Jesienią” i „Zimą”) gdzie raz jeszcze woła:

„Trza serce w dłoni nieść.”

Poetka śpiewa: śpiewa o morzu („Morze”) i kończy zbiorek „Litanją fal.” Nie jest to dla mnie przypadkiem. Czuję głęboką analogję między tym niezmiernym, wiernym, zawsze innym i zawsze jednakim—głębokim obszarem wód—a życiem. Morze było dla mnie zawsze symbolem tego życia, symbolem wiecznego stawania się, wiecznych przekształceń, wiecznej głębokiej pracy i jedności istnienia.

Poetka śpiewa o morzu i śpiewa o życiu. Wyczuwa tę niezmienną łączność człowieka z przyrodą. I hymnem mocy jest jej końcowa „Litanja fal”—głosem mowy jej ostatni krzyk:

„Zwól niech się duch mój z tobą po wiek wieków
Niech się poślubi w łonie cichej nocy spór
I swego serca wielkie miłowanie
Okuwszy w wolę twą—jako w zwycięskiej zbroi
— Niech zmartwychwstanie
Na hejnał twojej mocy
— Oceanie.”

„Chusty ofiarne” są tworem dojrzałej i głębokiej duszy. Te śliczne poezje są dla czytelnika wypoczynkiem po całej plejadzie naszych płaczących, tęskniących „poetów”—nie rozumiejących życia i nie biorących w rzeczywistym życiu żadnego czynnego udziału. Dla nas, którzyśmy mieli wielu takich piewców „bezwoli” i „bezmocy”—tembardziej cennym jest i pożądanym taki dojrzały owoc ducha—jakim są „Chusty ofiarne.”

Rozmyślnie tu pomijam duchowe wpływy i analogje, jakieby się dały przeprowadzić między poetką, a chociażby niektórymi przedstawicielami współczesnej liryki francuskiej. Czynię to dlatego, że jeżeli wpływ ten jest niezaprzeczalny, to siła poetyckiego talentu p. Ostrowskiej, zdołała echa te tak przetworzyć, że stały się jej własną, zawsze piękną mową.

W „Chustach ofiarnych” p. Ostrowska wstąpiła na wyżyny swego dużego talentu. Ze spokojną nadzieją będziemy oczekiwali od niej nadal rzeczy pięknych—i coraz piękniejszych.

* * *

„Chusty ofiarne” wyszły jako trzeci tomik wydawnictwa Jakóba Mortkowicza „pod znakiem poetów.”

Dwa pierwsze tomiki zawierały poezje Stanisława Korab-Brzozowskiego i Wincentego Korab-Brzozowskiego.

Piękne to wydawnictwo niezwykle wytworną swą szatą przypomina najpiękniejsze wydawnictwa zachodnie — i świadczy raz jeszcze o głębokiej kulturze artystycznej wydawcy, którego już nie pierwszym jest ono dziełem.

Gustaw Been.

Z DNA PRZEPAŚCI ŻYCIOWEJ.

II.

W drodze do Kijowa i Kijów.

Szybko mknęły godziny i przepadały wraz z ni-
knącym za pociągami torem kolejowym.

A więźniowie w wagonie już zdążyli się ulokować, jak u siebie, w celi więziennej. Wogóle psychologia więźnia nie wykazuje silnego przyzwyczajania się do miejsca zamieszkania. Przerzucanie z jednego więzienia do drugiego, z jednej celi do drugiej, wyrabia w więźniu pewne skłonności, a nawet upodobanie koczownicze. A zmuśne i monotonne życie więzienne bardzo przyczynia się do tego, iż więzień uczuwa silną potrzebę chociażby minimalnego urozmaicenia w swem położeniu. To też potrzeba ta częściowo bywa zadowolnioną przy wszelkich możliwych zmianach w życiu więziennym. Na nieszczęście do wszelkich zmian zbyt prędko więzień przywyka, ażeby mogły go one na długo zadowolić. W nowym miejscu dostatecznym jest znaleźć sobie „legowisko”, miejsce dla woreczka z bielizną i zamiany paru zdań z siedzącymi w temże miejscu, a już nowoprzybyły więzień czuje się, jak w starem, wysiedzianem gnieździe.

Tak też było i w wagonie.

Więźniom, siedzącym przy ścianach wagonu, dokuczła jedna okoliczność: częste uderzanie głową o ścianę, powodowane wstrząśnieniami, a nawet podskokami wagonu, widocznie, wskutek nierówności toru.

Tymczasem każdy z więźniów już się zajął swymi sprawami.

Jedni pili herbatę, drudzy zgrupowali się i prowadzili rozmowy lub dyskusje, a niektórzy smacznie chrapali na górnych pryczach wagonu.

Większość politycznych, wyjąwszy paru inteligentów, składała się z łódzkich tkaczy. I jedni i drudzy mieli nieszczęście być zaliczonymi w poczet „nieprawomyślnych”, za co ich zesłano do zdjęcia stanu wojennego w Łodzi, lub na termin od dwóch do czterech lat.

A byli i tacy, co zostali uniewinnieni przez sąd i po sądowym uwolnieniu byli zesłani przez administrację na zasadzie stanów wyjątkowych.

Pociąg unosił nas dalej i dalej.

Zbliżaliśmy się już do Kazakina.

Siedziałem przy oknie i przed oczami memi mknęły, jak obrazy w kinematografie, śnieżne, niby całun śmiertelny, pola, lasy, wsie i miasteczka z ich chatami, słomą krytymi i cerkwią, wystającą zwykle ze środka zielonemi kopułami, sterczącym krzyżem i obowiązkowym dodatkiem — wroną, odpoczywającą na krzyżu.

Wydało mi się przestępstwem patrzeć na migające wsie i miasteczka takim chwilowym i przelotnym wzrokiem: tam, pod słomianemi strzechami, być może, odbywa się szalona i śmiertelna walka z Głodem, Nędzą i Rozpaczą ostateczną, którą toczą zapomniani i poniżeni w życiu ludzie. Zdaje mi się, iż bierny wzrok obserwatora w stronę ludzi poniżonych, jeszcze bardziej ich poniża. Owszem, im potrzebną jest, lecz czynna uwaga ręki i duszy, powodowana szczerą chęcią i uczuciem brata i obywatela.

Zmusiłem się do oderwania wzroku od wagonowego okna.

A myśli różne, jak widma, długimi pasmami przesuwały się przed oczyma duszy i natrętnie ją męczyły. Rozbity i zmęczony wciąż nowemi i różnorodnemi wrażeniami nakoniec zasnąłem.

.... Kijów. Znow powtarza się zakucie w ręczne kajdany. Konwojni wyprowadzają nas z wagonu, ustawiają w szeregi, następnie otaczają dookoła i prowadzą do kijowskiego więzienia (Łukjanowka). Idziemy środkiem ulic. Dopóki szliśmy głównemi ulicami, droga była dość znośna, choć odwilż wszędzie poczyniła duże kałuże i błoto, lecz gdy weszliśmy w boczne ulice, droga stała się wprost niemożliwą: doły i zagłębienia na każdym kroku i wszystko to napełnione brudną, błotnistą wodą z kawałkami śniegu i lodu. Trzeba było często to skakać, to znow brnąć w wodzie po kolana, przez co, bezwarunkowo, łamało się szeregi. Jestem pewny, iż najbardziej wymustrowani żołnierze, na takiej niemożliwej drodze, nie zdołali by utrzymać szeregów w porządku. Wszystko to byłoby jeszcze znośnem, lecz konwojni śpieszą, naglą i pędzą nas gorzej niż bydło, co chwila słyszy się ich okrzyki, popierane najbrutalniejszymi wymysłami i groźbą, a czasem i uderzeniem rękojęścią szabli:

... Nie otstawat!... Dierżys riadow, Suk... syny...

Od dworca kolejowego do więzienia jest około 6 wiorst, a my przeszliśmy dopiero połowę.

Wtem posłyszałem komendę:

Smirno stajat! s miesta nie trogatsia....

Partja stanęła. Okazało się, iż zemdlą dwóch więźniów. Jak tylko stanęliśmy, otoczył na tłum ciekawych. Kobiety, dzieci, robotnicy młodzi i starzy. Żołnierze gorliwie odpędzali ciekawych, lecz ci natarczywie przeciskali się coraz bliżej do nas. Paru żołnierzy poszło szukać wozu dla ułożenia chorych. Jakaś kobieta z tłumy, trzymając na jednym ręku blade dziecko, drugą z bochenkiem chleba wyciągnęła w stronę więźniów ze słowy:

.... Natie, arestantiki, jesztiel....

Podbiegł do niej jeden z więźniów, uchwycił chleb i zaraz cofnął się w szeregi. Konwojny żołnierz, machając szablą, począł odpędzać kobietę i wymyślać. Kobieta wcisnęła się w tłum i stamtąd już krzyknęła do konwojnych:

... U wy, wołki, okazannyjel....

Ze strony żołnierzy posypał się grad wymysłów, a podrażniony tłum odpowiadał na nie głośnie „ululukanjem”. W Polsce złość i rozdrażnienie, tłumowi wyrażane bywa gwizdaniem, w Rosji zaś — „ululukanjem”, podobnem do krzyku, złożonego z jednej tylko sylaby:

... U—lu—lu—lu—lu....

Ze złośliwym wyrazem twarzy, ludzie głośnie z ironją wykrzykiwali tę sylabę. Szczególnie popisy-

wały się tem dzieci, które ze wszystkich stron zjeżdżały się wierzchem na kijach, ażeby popatrzeć na „arestantików.” Rozwścieczeni żołnierze zaczęli nie na żarty rozpędzać naprzykrzających im się ciekawych. Tłum się rozbiegł, lecz długo jeszcze było słyhać zjadliwe „ululukanje.” Przyjechał wóz. Ułożono na nim nie doprowadzonych należycie do przytomności więźniów i z kilkoma żołnierzami wóz pomknął przodem partji.

Zmęczeni i zziębnięci, wkrótce dotarliśmy do więzienia, które, zdawało się, już nas żarłocznie pochłaniało swemi smoczemi oczyma — oknami, kratą gęstą pokrytymi. Z łoskotem otworzyła się brama i wpędzono nas na środek więziennego podwórza. Jak wieko od trumny, trzasnęła brama przy zamykaniu jej za nami.

Rozpoczęło się „zdawanie” i przyjmowanie etapu, przyczem obecną była cała więzienna administracja w osobie naczelnika więzienia, jego pomocników i nadzorców. Każdy z nas był zrewidowany i wypytwany o imię, nazwisko, miejsce aresztu i zesłania. Następnie poprowadzono nas do dolnej części więzienia, zwanej „etapką”, w której wszystkie cele, były już i tak przepełnione, więc rozbito nas na trójki, czwórki i w taki sposób rozmieszczono po różnych celach w „etapce”, już napełnionych po większej części kryminalnymi odsiadającymi wyroki. Faktycznie, wyrokowi nie powinni siedzieć w „etapce”, a jednakowoż tak było wskutek tego, iż więzienie było dla pięciuset ludzi, a obecnie ich było przeszło tysiąc pięćset. Ja z trzema współtowarzyszami też się znalazłem u wejścia do jednej z cel. Z przejmującym zgrzytem zawiasy żardzewiałych, trzasnęły drzwi i pozostawiono nas w położeniu takim, że o szczegółach jego nigdybym nie uwierzył, gdybym sam się w niem nie znalazł. Widok był rzeczywiście okropny: była godzina jedenasta, a więc więźniowie leżeli, ułożeni do snu, jeden przy drugim, na podłodze, na pryczy, pod pryczą i to tak gęsto, iż napewno nie znalazłoby się miejsca nawet dla małego dziecka. Bo i nie mogło być inaczej. Cela miała ze dwa sążnie szerokości i trzy długości, a więźniów w niej było sześćdziesięciu siedmiu. Brudna była nie do opisania. Pod sufitem przedniej ściany czerniało maleńkie okienko, gęsto zakratowane. W kątach, między ścianami zaciekała woda. Na asfaltowej podłodze ludzie leżeli w błocie, które szczególnie było duże dookoła wielkiego drewnianego cebra („paraszy”), stojącego w kącie i używanego do nagłych potrzeb. Ceber ten był nieprzykryty i smrodliwy, wprost duszący zapach rozchodził się po całej celi. Przykucnęliśmy w kącie, przy drzwiach, pełni myśli o tem, jak i czy wogóle będzie możliwe tu życie. Już świtało, gdy nakoniec, zdołałem usnąć siedząc na swoim węzłku.

Rozbudził mnie gwar i szum mieszkańców celi. Wszyscy już nie spali i szykowali swe blaszane czajniki do otrzymania rannej herbaty, czyli raczej gorącej wody, bo herbatę i cukier trzeba mieć swoje. Nadzorca otworzył nam drzwi celi i ruszyliśmy z czajnikami do kuchni, znajdującej się w tymże piwnicowym korytarzu. W celach jest brudno, lecz to, co ujrzałem w kuchni, przechodziło granicę wszelkich możliwości. Wszędzie i na każdym kroku najokropniejszych brudy i błoto, po ścianach i suficie najspokojniej spacerowały miliony różnych robaków i pluskiew. Para, podnosząca się z kotła, zrzucała robaków z sufitu prosto do kotła z wodą na herbatę, z której w taki sposób mieliśmy nie herbatę, lecz rosół, sporządzony na mięsie z różnych karaluchów, francuzów, prusaków i pluskiew. Zajrzałem do kotła. Ręką poruszyłem ściankę kotła wewnątrz i gdy wyjąłem, to ujrzałem na rękę masę, najmniej na dwa milimetry grubego brudu, okropnie cuchnącego; kucharz, gdy go spytałem o przyczyny tego brudu, od-

powiedział mi, że po obiadowej zupie kotła ani nie czyszczą, ani pozostałości nie wylewają, a zaraz napełniają go zimną wodą na herbatę.

Przy wychodzeniu z kuchni, nadzorca więzienny wydawał każdemu jednofuntową „pajkę” chleba czarnego, który zdawał mi się nawet smacznym, choć, gdy się go jadło, to coś trzeszczało w zębach, jakby piasek lub żwir.

Po spożyciu śniadania zacząłem rozmawiać z niektórymi więźniami. Skład ich był najrozmaitszy. Byli tu kryminalni recydywiści i wypadkowi, byli i tacy, co nie mogli powiedzieć, za co siedzą, byli i polityczni włościanie za ruchy agrarne; czyli, jak tam oni mówili „za puskanie krasnago pietucha pomieszczycam”, to jest za podpalanie majątków, należących do obszarników, — było dużo i włóczęgów, tak zwanych „bosiaków”. Między niemi niektórzy nie wiedzieli skąd pochodzą, czy mają ojca, matkę, lub rodzinę, nie znali nawet swego imienia i nazwiska. Wśród „bosiaków” byli i ludzie zupełnie inteligentni. Wstrętne warunki życiowe i brak hartu ducha i woli rzucały ich na dno rozpaczliwego pijaństwa, gnicia fizycznego i moralnego. Tu dopiero ujrzałem w całej nagości cuchnące kwiatki dzisiejszego ustroju i owoce naszej „humanitarnej kultury”.

— Wy, Syci i Silni świata tego, wy, szumni głosiciele zdania, że wszystko, co jest, — jest owocem waszej „kulturalnej” pracy, czy wy wiecie o tem, że zdeptanie i wykołajenie życiowe tych więźniów, — też należy do owoców waszej „kultury” i naszych „tryumfów techniki”?...

— Wy, działacze społeczni i zwolennicy Postępu, czy wy wiecie o tem, że swoim milczeniem i bezczynnością kładziecie brudną swą łapę na gardło konających w błocie więziennem ludzi, by, zdusiwszy ich, tem samem uwieńczyć dzieło waszej „kultury”?...

— Czyż sumienie nigdy już wam nie powie, że powinniście te żywe i martwe, okropnie zeszepeczone trupy okazywać na waszych wystawach, jako owoce pracy „kulturalnej”?...

Zbliżała się pora obiadowa. Do kuchni poszli dyżurni więźniowie; za chwilę weszli z trzema drewnianymi szaflikami, jakich używają gospodynie do pomyj. Zawartość tych szaflików wcale nie była lepszą od pomyj, brudna gorąca woda i tyle w niej kawałków kapusty ze można było je zliczyć. Ta zupa nazywa się „Szczy”, a w języku więziennym — tyfus, bo, rzeczywiście, sławetna ta, brudna zupa bywa najlepszym rozsładnikiem tyfusu.

Na drugie danie była jaglana kasza, topionym łojem okraszona. Kaszę taką dają tylko trzy razy tygodniowo. Mięsa nigdy nie bywa dla przesyłkowych więźniów, otrzymują je tylko polityczni miejscowi, znajdujący się na piętrach więzienia w celach pojedynczych. Po obiedzie więźniowie zajmują się czytaniem książek, których jest parę w celi, zabronioną grą w karty i najbardziej ulubioną grą więźniów — arcaby, zwykle robione z czarnego chleba, a niektórzy z więźniów siadają po kątach i cichym smętnym głosem śpiewają pieśni więzienne, pełne jaskrawego wyrazu ale złamanego życia, nieutulonego żalu i tęsknoty za szczęściem i wolnością, lub przeciągłego jęku rozpaczony bez nadziei zadnej...

Wieczór. Na kolację herbata, a po niej „powierka”, to jest sprawdzanie przez naczelnika więzienia liczby więźniów. Po „powierce” większość więźniów uклада się do snu. W ciemnej celi przy chrapaniu i sapaniu śpiących więźniów, przykro się robi, gdy samemu spać się nie chce.

A w wyobrażeniu zaczął wyraźnie powstawać obraz dalekiego stąd miasta... Ulice rześcicie oświetlone i po trotuarach chodzi mnóstwo wystrojonych ludzi, „wolnych” ludzi. Zdaje mi się, że i ja tam jestem.. Słyszę dobitnie odgłos mych kroków... Wśród ludzi

chodzę taki, nad wyraz szczęśliwy, a i ludzie wszyscy tacy uśmiechnięci, radzi czemuś...

Wtem rozpaczliwy, duszę rwący krzyk jakiś wprost zatrząsł powietrzem, tysięcznym echem odbił się o mury korytarza i rozproszył się po celach.

Potem sflumione jęki... i cisza zapanowała, lecz cisza okropna... O, wolałbym bezustanne grzmoty piorunów i armat, niż złudną tę ciszę, pełną wewnętrznego niepokoju i oczekiwania czegoś, nad wyraz okropnego. Na drugi dzień dowiedziałem się, że był to rozpaczliwy krzyk ofiary chęci homoseksualnej jednego z recydywistów. Otiara gwałtu dostała obłądu. Co wówczas czułem, — niewiem, tylko pamiętam ten ból szalony, który mną tak miotał, że zabijałem go innym bólem — uderzeniami głową o ścianę... Administracja wcale nie reaguje w takich wypadkach i wogóle trzyma się za rękę z recydywistami, którzy korzystając z tego grabią, a czasem i gwałcą nowoprzybyłych, szczególnie nieletnich. Na drugi dzień, podczas „powierki” jeden z moich politycznych współtowarzyszy podszedł do naczelnika i cichym skarżącym się głosem rzekł mu:

Panie, czy wiesz Pan o tem, że w waszem więzieniu dzieją się gwałty homoseksualne?..

— Nadzirатели, wziat jego w karcer na dwoje sutok! — brzmiała odpowiedź.

Skoczyłem, jak piorunem rażony i krzyknąłem:

— Panie, ja codzień będę Panu krzyczeć o tem.

Wziat i jewo! — krzyknął naczelnik do nadzorców i wyszedł.

Mnie i towarzysza nadzorca wyprowadzili na korytarz i tu uczyniono z nami to, co zwykle się robi w więzieniu w takich wypadkach. Następnie wrzuciono nas do bardzo wąskiego, ciemnego lochu. Trząsły drzwi i wszystko ucichło. Z bólem i jękiem zacząłem pełzać po wilgotnej podłodze, ażeby znaleźć słomę która powinna była tam być. Znalazłem ją. Towarzysz mój nie mógł nie tylko mówić, lecz nawet nie poruszał się. Ciągnąłem go za ręce i w taki sposób dociągnąłem do słomy, a potem zapadłem, nie wiem w co, w sen, czy w omdlenie. Po dwóch dobach ja wyszedłem cało, lecz sam, towarzysz mój umarł w szpitalu, podobno na suchoty... Po wyjściu z „karceru” w więzieniu tem byłem jeszcze 2 tygodnie i cały ten czas chodziłem i czułem się jak martwy. Stałem się tępym okropnie, nic na mnie wrażenia zadnego nie robiło. Nic do nikogo nie mówiłem i nic prawie nie jadłem. Chodziłem tylko po celi i niespokojnie spałem. Nakoniec poczułem, iż skrzydła mi wyrastają gdy usłyszałem, że przyszedł konwój po przesyłkowych do Orła. Z radością wybiegłem na podwórze, gdyż i ja należałem do tego etapu. — Co to w Orle będzie? pytałem samego siebie, lecz odpowiedzi znaleźć nie mogłem. *Emil — Wygnaniec.*

LETNIE MIESZKANIA

w willach murowanych, położonych w lesie sosnowym

LOKALE 2-u i 3-y pokojowe z werendami i kuchniami

KĄPIEL. PRODUKTA NA MIEJSCU. CENY PRZYSTĘPNE.

St. Baniocha kolejki podjazdowej Grójeckiej.

Wiadomość na miejscu u Pani **Oppenheim**, lub telefonicznie 46-78.

Pociągi odchodzą: o godz. 6,50 rano, 8,50, 11,10, 2-ej, 4,15, 5,25, 6,30, 8,40.

W Niedziele i święta co godzina.

MACZKA
NESTLÉ
MLECZNA

Idealny pokarm
dla niemowląt
oraz dla osób dorosłych — chorych
na żołądek.

Największe powagi lekarskie całego świata polecają
PASTYLKI

GÉRAUDEL'a

jako środek leczniczy, usuwający radykalnie chrypkę, katar, kaszel oraz wszelkie choroby dróg oddechowych.

Cena pudełka 85 kop.

UWAGA. Oryginalne pudełka zaopatrzone są w czerwoną etykietę z firmą głównego przedstawiciela na Królestwo i Cesarstwo. „Fabian Klingstrand. Warszawa”.

Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich!
SŁYNNA W CAŁYM ŚWIECIE!

HERBATA z gór Harcu

(Dr. Lauer's Harzer Gebirgstee).

Zalecana przez najslawniejsze powagi lekarskie, zatwierdzona przez departament Med. przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych w Petersburgu jest jedynym z najniezbędniejszych środków dla utrzymania zdrowia. Napój przyjmowany w ilości 2—3 filiżanek tygodniowo, lecz wyrzuty, liszaje uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, artretyzm, cierpienia żołądka i t.p. przywraca apetyt, prawidłowe trawienie. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, influenzy, choleryny

Cena pudełka 1 rb., 1/2 pudełka 50 kop.

UWAGA: Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą etykietą: Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

JOZEF GROSSMAN. Warszawa, Śliska № 38a. Telefon 184-44.

Za miejscowym wysyłam za zaliczeniem od rb. 1 z odliczeniem na koszt przesyłki. Wystrzegać się falsyfikatów i podrabianych etykiet.